

Przyjaciół Ludu.

Rok szósty.

No. 2.

Leszno,
dnia 13. Lipca 1839.



Morskie oko w Tatrach, w obwodzie sandeckim.

Morskie oko.

(Koniec.)

Po $\frac{2}{3}$ milowym biegu z rybiego jeziora, czyli morskiego oka, łączy się na lewym brzegu Białka z strumieniem Rostoka, płynącym z doliny pięciu stawów, a $\frac{1}{3}$ mili poniżej u południowej stopy góry: Czerwona skałka, składającej się z czerwonego gęstego wapienia, z inną małą, lewą, poboczną strugą. Występuje ona, ubiegłszy jeszcze kilkaset kroków, z gór wysokich, i wpada do Dunajca pomiędzy galicyjską wsią Dębno a węgierskiem miasteczkiem Fridmann.

Zaczawszy od morskiego oka, aż do połączenia się z strumykiem Podieplaski, tworzą prawy brzeg doliny, w której Białka płynie, góra: Siedem granatów, a lewy zaś szczyt: Opalony, tak nazwany z powodu pożaru leśnego; obie góry składają się z niebiesko-szarego wapienia alpejskiego. Kształty gór granitowych, różnią się tutaj widocznie od więcej rozpadniętych i od zwińtrzenia nadpsutych gór wapiennych. Dolina prawie całkiem wypełniona jest gruzami rozlicznych formacji górskich, które po części dno takowej chcą wyównać, po części zaś to z lewej, lub w większej jeszcze ilości z prawej strony do ścian doliny przypierają i blisko trzecią część wysokości takowych zajmują. Gdyby tych rumowisk nie było, znikłaby cała rozległość doliny. Woda przy znacznej swjej spadzistości płynie rwiąc bezpośrednio koło prawego brzegu, lub też bliżej takowego, niż lewego, przez kawały skał i powalone kłody, tworząc z szumem liczne wodospady; a podróżny, który opuści drogę, z wielką musi bacznością stąpać, aby się nie nadwreżył przez szwank jakowy pomiędzy rumowiskiem pokrytym mchem, porostem i pnąciami się zielami górskimi i obrośniętym krzami (*Lonicera nigra*, *Rubus idaeus* i *caesius*). Spód, naspy z rumowisk, jako też i brzegi doliny, jeśli tylko ostatnie prostopadle się nie wznoszą, okryte są lasami sosnowemi, które jednakowoż przez nieporządne wycinanie i od złomów wiatrowych wiele ucierpiały. Zaczawszy od doliny: Podieplaski, aż do ujścia Rostoki, tworzą lewy brzeg doliny: północna ściana Opalonego, prawy zaś góra zwana: Wielki Oplaczka. Dolina powoli się rozstępuje i od 5 do 600 stóp szerokości nabywa. Bystry prąd Białki uniósł z sobą gruzy pobliskie, które tylko jeszcze koło brzegów doliny zgromadzone leżą; las staje się coraz wyższym i gęściejszym, a spadek rzeki płynącej z szumem przez rozmaite rumowiska tuż pod samą Wielką Oplaczką w głęboko wypłukanym korycie, znacznie mniejszym. Prawy brzeg doliny sromiej się wznosi niżeli lewy, aczkolwiek już obadwa kilku prostopadłych tarassów sosnami, równie jak parowy pokrytych tworzą.

Od wychodu z doliny pięciu stawów, aż po za ujście ostatniego strumienia po lewej stronie wśród gór wysokich, dno doliny Białki szerokie

jest od 6 do 800 stóp, prawie całkiem poziome i gęstym porostem młodych sosien i jodeł, a w niższej części piękną łąką pokryte. Lewą ścianę doliny tworzą, jak się już wyżej namieniło: góra Wołoszyn, a prawą zaś: Mały Oplaczka, odznaczający się swemi trzema wierzchołkami i Holitsa Wrch. Skoro się tylko przejdzie za ostatni strumień górski, występuje Czerwona Skałka, góra wapienna czerwonej barwy, od zwińtrzenia już bardzo nadpsuta, z której południowej ściany przed kilku laty część odpadła w poprzek na dolinę, jak gdyby ją zamknąć chciała. Między nią a Białką ledwie tylko dla drogi, do morskiego oka wiodącej, miejsce pozostało. Drogę tę założono dopiero roku 1811, a później tak ją rozszerzono, iż po takowej wązkiemi, małemi, lekkimi, lecz bardzo mocnemi wózkami chłopskimi jeździć można. Od tego to miejsca chcąc dojść do morskiego oka, potrzeba jeszcze godziny i $\frac{1}{4}$ czasu. W całej dolinie pokryte są kamienie często bisiorem fijałkowym (*Byssus jolithus*. Lin. *Dematium petraeum* Pers.) mającym w żyjącym stanie czerwoną barwę i wydającym podczas wilgotnego powietrza woń specyficzną fijałkową; zasuszony nabywa popielato-szarej barwy i niknie. Zwykle zowią w owych stronach górskich kamienie, takim bisiorem pokryte, fijołkowemi.

Na drodze do morskiego oka, zwiedza się jeszcze wprzódki zwykle dolinę pięciu stawów z najwspanialszym i najładniejszym wodospadem w całym głównym pasmie Karpat. Droga prowadzi od ujścia strumienia Rostoki do Białki, wnet do góry, wnet na dół przez lasem porośłe rumowiska i złomy wiatrowe. Po trzech-godzinnnej drodze ukazuje się już z daleka pyszny widok tego cudnie pięknego wodospadu. Anglik Browne z *Trinity College w Cambridge* zwiedzając go roku 1825 po odbytej podróży prawie przez całą Europę i znaczną część Azji, powiedział o tym wodospadzie: „że mógłby się liczyć do najznakomitszych w świecie, gdyby był prostopadlejszym.“ Woda rzuca się tutaj z wysokości blisko 160 stóp przez skały na dół; lecz wśród swego spadu dzieli się na dwie części, co w prawdzie nie sprawia całego skutku, lecz za to tym bardziej zachwyca. Woda ta zbiera się z ujścia pięciu stawów i z stopniałego śniegu wyższych okolic; wszelakoż pomimo tego jest czystą i przy swjej niskiej temperaturze bardzo orzeźwiającą.

Trudno jest zaiste oderwać się od tak wspaniałego widoku, możnaby tu bez unudzenia całę dnie z upodobaniem przysłuchiwać się dziłkim szumiącym dźwiękom tych bałwanów wodnych. Ztąd do 5. stawów jeszcze blisko 2. godzin drogi potrzeba. Dolina takowych, leżąca na przeciw doliny Tychy, przedstawia okropną puszcę, zapełnioną znakami zniszczenia i rumowisk. Leży ona nierównie wyżej, niż dolina czarnego stawu, dla tego też góry tworząc takową, nie wznoszą

się już tak wysoko po nad płaszczyznę doliny, jak szczyty koło czarnego stawu. Do głównego grzbietu od północnej strony, okrytego aż do połowy swęj wysokości pokładem wapienia, przypierają nowe masy wapienne, pospolicie tamże górami rybiego jeziora zwane, są one podług naszego podziału głównych Karpat, częścią Tatrów. Cała kotlina doliny pięciu stawów, bardzo mało śladów roślinności pokazuje, gdy zaś przeciwnie dolina Tychy, najbujniejszą okryta jest wegetacją.

Zdaje się, iż niektóre kawały skał głównego grzbietu i zachodnich gór wapiennych wyższej kotliny, niedawno dopiero się oderwały; można to łatwo wnioskować z dużych kawałów skalistych, na spadzistościach w takiej ilości nagromadzonych, iż małego tylko pchnięcia od burzy lub bałwanów wodnych potrzebują, aby powpadać do jeziora. Miejscami po pod rumowiska i w rozpadlinach ciągną się od wierzchołków góry aż na dół smugi śniegu, rozszerzające ostre zimowe powietrze.

Cztery wyższe jeziora, leżące w małej odległości od siebie na niezbyt wysokich stopniach, daleko są mniejsze i szerokiem brzegami z gruzów otoczone, które na domysł wiodą, że kotliny wodne niegdyś daleko większą miały objętość i że takowe jedynie utworzyły dla jezior dzisiejsze przedziały.

Najwyższe jezioro leży pod głównym grzbietem, jest najmniejsze, prawie całkiem okrągłe, i w lipcu jeszcze lodem pokryte, dla tego go też Zamarzły, lub do zamarzłego zowią.

Drugie, formy owalnej, mało co jest większe od pierwszego.

Trzecie, formy podługowatej, prawie jednakię szerokości co drugie, jednakże znacznie dłuższe.

Czwarte znowu większe od poprzedzających, jest pociągłego, nierównego kształtu.

Wszystkie te jeziora, z których trzy pierwsze mniej wyższe od drugiego mają położenie, wypuszczając wodę przez wały skaliste i rumowate, oddzielające jedno jezioro od drugiego, tworzą małe wodospady, które w ogóle mało w wodę obfitują.

Piąte jezioro wreszcie znacznie jest wielkości, obejmując 40 morgów i 80 sążni kwadratowych, podługowato-okrągłe i leży daleko niżej od drugich. Od północno-wschodniej strony zamyka go gruzami pokryta skalista ściana, przez którą woda uchodząca 10 do 12 stóp szeroka, najładniejszy wodospad tworzy. Dopiero w około i pod tym wodospadem zaczyna się okolica kozio-drzewiny (*Pinus Mughus* lub *Pumilio*).

Pasterze z szafasu koło trzeciego stawu, wynoszą, dla posiłku znużonego wędrowca, który się drapie po tych to górach, świeżą żentycę w małych czystuśkich czerpakach. Przebywają oni tamże z swemi owcami, kozami i rogacizną, od połowy miesiąca czerwca aż do końca sierpnia, robiąc ulubiony sér górski. Między nimi można jeszcze znaleźć ślady ustaw patryarchal-

nych, stoją oni pod władzą najstarszego i posiadają różne stopnie w znaczeniu. *Juhas*, czyli pasterz bydła, bardziej jest poważanym, niżeli pasterze owiec lub kóz; ma on także szczególne prawo nosić koszulę całkiem w tłustości maczaną i czarno wyglądającą, co go od gadów strzeże. I tak nawet na takich wysokościach panuje jeszcze chciwość sławy! Są oni z resztą bardzo zręczni, skaczą jako kozy przez skały i lubią muzykę. A ponieważ bardzo proste ich życie, więc też ciało dochodzi rzadkiej wysokości; są oni najgościnniejszymi i nie piją mocnych trunków, póki tylko z swemi trzodami na górach bawią; w innej porze roku bardzo miernie upajających używają napojów; wielu z nich, niewidziawszy miasta za życia, umiera. Echo tutaj, równie jak wszędzie dalej pomiędzy massami granitu i wapienia, trwa dłużej, sprawiając często powtarzający się huk, do grzmotu podobny. Droga ztąd do morskiego oka, do którego jeszcze blisko 3 godziny iść potrzeba, prowadzi przez górę Kopa zwaną; jest ona wprawdzie utrudzającą, lecz nader zajmującą. Przecudny widok przedstawia się nam ze szczytu Kopy. Oko niczem niewstrzymane sięga głęboko w Węgry; pokazuje mu się mnóstwo miast i wiosek spizkich, a z niewypowiedzianem uczuciem widzimy się z tąd wysokości (6000 stóp) w bliskim sąsiedztwie olbrzymiego Krywania, Królewskiego nosa, szczytu Lodowej doliny, Łomnickiego i t. d. gdy niższe góry zdają się spoczywać pod nogami widza.

Przybywszy do morskiego oka, niedozwala już znużenie zbyteczne, trapiące podróżnika, czarny staw jeszcze tegoż samego dnia odwiedzić, przetoż dobrze jest przenocować tutaj, aby wytnąć po tylu wspaniałych i wzniosłych wrażliwościach, i pokrzepiwszy się, spieszyć dnia następnego dla oglądania nowych piękności natury.

Chcąc z Nowego-Sądca dostać się do morskiego oka, jedzie się przez Łacko, gdzie się obiaduje; ztamtąd przez Tylmanową, Krościenko, Czorsztyn do Maniowy, gdzie się nocuje, jeżeli wprzód nie chcemy poświecić reszty dnia na zwiedzenie kąpieli w Szczawnicy. Drugiego dnia obiera się albo bliższą drogę na Harklowę i Uj-Belę do Bukowiny, lub dalszą na Nowy targ, Szafary, Biały-Dunajec i Poronin; ostatnia ta droga wprawdzie jest dalszą, ale za to lepszą. Na każdy sposób wypada zanocować w Bukowinie, gdzie w nowo wybudowanym zajezdnym domu wygodnie pomieścić się można, wieczór zaś spędzić na przeglądaniu ciekawej książki, w której podróżni imiona swoje zapisują, i na przygotowaniach do jutrzejszej podróży. Według możliwości wyjeżdża się jeszcze przed wschodem słońca z Bukowiny, aby uzyskać nieco czasu do oglądania wszystkich miejsc pięknych; powracając jedzie się dla odmiany z Nowego-Targu przez Zaryte bardzo dobrym gościńcem, z Zarytego mamy już najpiękniejszą drogę przez Mszanę, Dobrą, Lima-



Zygmunt August.

(Z obrazu w zamku warszawsk.)

nów do Nowego-Sądca. Cała droga nader jest malowniczą, mianowicie okolica koło Dobry i Wysokiej góry jadąc z Limanowy do Nowego-Sądca. Prawdziwie sztucznie na tej górze utworzona trzech-milowa droga, pozwala używać najrozmaitszych i najpiękniejszych widoków. Od Zarytego aż do Nowego-Sądca rachują 8 mil pocztowych.

Słów kilka o życiu domowém Zygmunta Augusta i o zgonie tego monarchy.

Życie prywatne monarchy większy może wpływ na losy narodu wywiera, niż życie jego publiczne. Prawdy tej doświadczyła, niestety! Polska, pomimo tego, że władza i powaga jej monarchów tak ograniczoną była. Słabości w domowem życiu króla chłopków, winniśmy owe roje ludu, który zaległ wszystkie zakątki dawnej Polski, opanował wszelkie gałęzie przemysłu, niedozwolił rozwinąć się u nas trzeciemu stanowi, stanowi tworzącemu prawdziwą potęgę narodu, i skażił obyczaje krajowe nie w jednym względzie. Zygmunta starego życie i stosunki domowe rozpasaly szlachtę, dały hasło do tak częstych później rokoszy, każyły włoszczyznę staropolską enotę, siały podejrzenia, niezgodę, uczyły jak do dopięcia celu pieniędzy, stopień lub trucizna, w miarę potrzeby, zarówno użyte być mogą. Życie domowe Jana Kazimierza i Jana III., rozsiało po kraju język francuzki, a z nim lekkomyślność tego narodu i wzgardę oj-

czystych obyczajów i rzeczy. August drugi sam oddany opilstwu i zbytkom, napelnił kraj temi występkami. Pobożność na dworze syna jego, Augusta III., natworzyła dewotek i dewotów, a co gorsza, hipokrytów i hipokrytek.

Niemniej szkodliwy wpływ na obyczaje i losy narodu wywarło życie domowe ostatniego Jagiellończyka. Zygmunt August zmierzwszy sobie trzecią żonę swoją Katarzynę Austriaczkę, szukał w pobocznych miłostkach balsamu na rany, które mu pożyłcie z niemłą sobie małżonką zadawało. Współczesny rękopism powiada, że nie tak w lata podeszły, jak raczej rokoszami wycieńczony na siłach monarcha, nie tylko starał się usilnie o rozwód z Katarzyną Austriaczką, ale nawet zamyslał wnieść natychmiast w nowe związki małżeńskie z kobietą jakąś niskiego stanu, a dla potomstwa, któreby z tego małżeństwa miał, pragnął zapewnić prawem dziedzictwa jaką prowincję koronną w zamian za Litwę, której dziedzictwa zrzekł się na korzyść narodu. Gdy stany, Rzym, a nadewszystko dom rakuski tamy nieprzebyte do rozwodu stawiał, znaleźli się zaraz doradcy, a między tymi sławny włoski herezyarcha Ochyn, którzy królowi bigamią doradzali. Monarcha, nie mogący z jednej strony rad tych słuchać, z drugiej rozwodu dostać, wyłał się odtąd całkiem na miłostki. Pierwszy wybór jego padł na jakąś Zuzannę Orłowską, nieznajomego rodu, ale nadzwyczajnie pięknej urody, którą w domu swego faworyta Zalińskiego z Prus poznał. Przez siedm lat doznawała Orłowska względów Augusta, ale nieobdarzona

przymiotami, za pomocą których nieraz kobiety mierniej nawet urody serce i rozum wielkich ludzi krępują, wpadła w niełaskę i oddalona została od boku króla, który ją nawet niezbyt hojnie wyposażył. Miejsce Orłowskiej w sercu zmiennego Augusta zastąpiła wnet Zajączkowska, panna z frauncymeru królowej Anny. Trudna bardzo było z nią sprawa: niesłuchała żadnych prośb króla, odselala podarunki i niewpuszczała do swojej komnaty zakochanego Augusta. Dopiero obietnica, że król uzyskawszy rozwód z Katarzyną, podzieli z nią łóżę królewskie, zmiekczyła ją i uczyniła powolną. Zygmunt August osadził ją w klasztorze sulejowskim, podejmował po królewsku i często ją odwiedzał. Ta zbyt ścisła przyjaźń z Zajączkowską, poróżniła go z siostrą, infantką Anną.

Wkrótce przecież, niestały jak motyl Zygmunt August, poniechał Zajączkowską, a rzucił się w objęcia kobiety, która umysł i wolę jego ujarzmić i wiecznie do siebie przykuć potrafiła. Kobieta tą była Barbara Gizanka. Może samo imię *Barbara*, które mu Radziwiłłównę przypominało, było dla niego talizmanem, niedozwalającym mu oderwać się od Gizanki. Barbara Gizanka urodziła się w Warszawie, gdzie ojciec jej był radcą. Po śmierci jego przeniosła się z matką do Krakowa, i tu, ówczesnym obyczajem oddaną została w naukę do zakonnice. Zygmunt August ujrzał ją pierwszy raz w kościele, a widok jej takie na nim wrażenie zrobił, iż postanowił poznać ją z bliska. Użył naprzód ku temu *swoje pacholę*, Mikołaja Mniszcha, a gdy zabiegi Mniszcha opór Gizanki niweczył, przenałżę żyda, który do klasztoru z towarami i podarunkami od króla do niej chodził. Gdy i żyd cnoty strzeżonej pilnie od zakonnice nie mógł zachwiać, siostra starsza Gizanki, będąca za mężem w Krakowie, zjednana obietnicą i widokiem wielkich korzyści z tej intrygi miłośnej siostry swojej z królem, odebrała ją z klasztoru i oddała w ręce uszczęśliwionego ta zdobyczą monarchy. W rok potem powiła Gizanka Zygmuntowi Augustowi córkę. Od tej chwili stała się samowładną panią jego szkatuły, jego serca, a co gorsza dla kraju, jego woli.

Z Mikolajem Mniszchem, z swoją matką i siostrą, a nawet podobno z kilku ludźmi z motłochu, szafowała łaskami królewskimi, sprzedawała urzędy i godności, srebrne i złote sprzęty królewskie przenosiły się nieznacznie do jej rąk. Z towarzystwa Gizanki niechętnie się król odrywał do spraw publicznych. W roku 1572 udał się schorzał na sejm do Warszawy. Trudy sejmu powiększyły chorobę i król przymuszony był leżeć w łóżku. Wtém wybuchło powietrze morowe w Warszawie i przedarło się aż do zamku królewskiego, gdzie książę Massalski, jeden z pokojowych pacholąt królewskich, nagle na nie umarł. Król tedy przeżony tym przypadkiem, postanowił wyjechać

do Tykocina. Przed wyjazdem wezwał do siebie infantkę Annę, z którą się od dawnego już czasu był poróżnił. Czułe było zejście się jej z bratem. Przewidując bliskie osierocenie swoje ostatnią gałązką bujnego niegdyś szczepu Jagiellonów, rzuciła się łzami zalana w objęcia dogorywającego brata; oboje przebaczyli sobie urazy, a król oddał jej testament, postanawiając ją w nim sukcesorką generalną po sobie. Po tém widzeniu się z siostrą, puścił się Zygmunt August w podróż do Knyszyna. Wieziono go na wozie przykrytym, ciągnionym od 12 koni. W nim zawieszono było łóżę, na którym leżał monarcha, kołysając się ustawicznie jak w kołysce. Gizanka bocznym traktem jechała za nim do Knyszyna. Przybył Zygmunt August do tego zamku pierwszych dni Czerwca. Tu, gdy otaczający go spostrzegli, że był bliskim zgonu, namawiali go, osobliwie biskup Krasinski, aby się wyświadał. Złe to przyjął król, jednakże dał się nakłonić, i opatrzony sakramentami dnia 7. Czerwca 1572 roku o godzinie 17, na całym zegarze, zawarł powieki w 53. roku życia.

Historycy nasi utrzymują, że Zygmunt August umarł zupełnie ubogim, że nawet nie było za co zwłók jego pochować. Rzecz się atoli ma inaczej; w szkatule jego nieznaleziono wprawdzie nic, ale w sklepach knyszynskich były skrzynie napełnione złotem, srebrem i rozmaitemi kosztownościami. „Do dworu się wszyscy panowie zjechali“, — mówi współczesny rękopis; — „do sklepów szli; skrzynkę tam odemknawszy, znaleźli w pierwszej 50,000 czerwonych złotych, w drugiej 21,000 czerwonych złotych.“

Targowa przygoda Bartosza.

(Dokończenie.)

Milecz, przeklęty gaduło! ofuknął mnie tenże, a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skreślił. Alboż nie widzisz strzelca z fuzyą wynurzającego się z krzewiny. W samej rzeczy! tegoby jeszcze potrzeba, żebym sobie miał dać wpakować nabój może poświęconych łoftek dla takiego, jak ty, szubrawca! A któż ci zaręczy głuptasie, żeby się i tobie nie dostało.

Nie było co na to odpowiedzieć, choć wyznać muszę szczerze, że mi się nie bardzo spodobał ten ton pański, szafujący obficie tak pięknymi tytułami. Cóż było jednak robić. Polknąłem gorzką pigułkę, choć czułem w sobie chętkę nakreślić temu urwiszowi karku, który był w mojem ręku. Pomny jednak na moje własne dobro, spuściłem na kwintę i odezwałem się tonem pokornym. Ależ zważcie jasnie wielmożny orle, że już moja niska chatka znikła mi zupełnie z oczu. Gdzieżto lećciecie jak oparzeni.

Tam do kata, jakimi zuch! Mówię ci po raz ostatni obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb, i zetrzesz się na

miazgę, iż ani zjupniesz! Pomyśliłem sobie: Przekłeta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mógłś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Czy mnie licho opętało. Tu między kawkami za katy wietrzno i mglisto; a co gorsza, mój znurowiony wierzchowiec diable mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak mocno nie trzymał, jużby mnie był podobno dawno z siebie zrzucił.

„No! cóż tam sobie pomrukujesz przebrzydły opoju!“ odezwał się znowu do mnie. „Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją; szczęściem, że oto księżyc nie daleko; musisz się na moment za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę.“ Nie chciałem na to przystać, bo mi się wcale nie podobało, że mam dyndać i nogami w powietrzu przebiegać jak wisielec; a do tego mam garścią chwytać za ten sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie robi, co musi; albowiem dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsał, że mimowolnie uchwycił za róg księżycy i zawisnąłem w powietrzu.

„Do szczęśliwego zobaczenia!“ zarzekał się szatańskim śmiechem mój powietrzny woźnica; „pozdrowcie odemnie waszą, jak ją zobaczycie, i powiedzcie jej, że skoro będę miał naprawione moje różki u figury za karczmą, to was znowu spuszczę na ziemię; tymczasem możecie sobie trochę podyndać, i czekać na inną jaką okazję.“

O urwiszu, obwiesiu, cygańska duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał; tak to umiesz zwodzić poczciwych ludzi? Nakłamałem mu do woli, co mi tylko ślina do gęby przyniosła, bo i nie miałem już przyczyny go ochraniać.

Gdym go tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc, szukając z kąda jakiej pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

„Szczęść Boże“, rzekłem, chcąc z nim zacząć rozmowę; a lubo mi ledwo odmrugnał: daj Panie Boże! pytałem go się dalej: „jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak usilnie pracujecie, jak gdyby wam podstarości stał z batogiem na karku. I, dalibyscie robocie pokój; proszę was oto na tabaczkę! i opowiem wam moją przysgodę.“

Ale ów mruklawy gnojek, jak gdyby tego nie słyszał, nie ustając bynajmniej w pracy, odezwał się do mnie groźnie: A ja wam mówię Bartoszu, idźcie sobie precz! nie ma tu dla was miejsca.

Poszedłbym bardzo chętnie, żebym tylko mógł, (odrzekłem jeszcze pokornie); przecie wam tu nie wiele zawadzam, gdy się troszynkę różka miesiąca czepiam.

A właśnie ja na to żadną miarą zezwolić nie mogę; miesiąc mógłby się przegibnąć na jedną stronę, tobym i ja się skulił. Idźcie więc precz, mówię wam po raz ostatni!

Już mnie też niecierpliwość wzięła; widzę że to niepeć, i odparłem groźnie: Ej co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. — Widzisz go, jaki mi zuch! — Wiedźże miesięczny drągala, że mnie teraz sam pan nie ma do rozkazania, a cóż dopiero taki drab i taki grześnik jak ty jesteś! Myślisz pewnie, że ja nie wiem, co ty zać? O znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Boże świeć nad duszą jego, o twojem ukaraniu. a) Jeżeli więc dla przebrzydłej chciwości, cierpisz bożą karę, nie pomnażaj przynajmniej winy nieludzkim twojem z bliźnim obejściem; zwłaszcza, że tu zapewne rzadko kiedy kto nadużywa twój gościnności.

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa na moję perswazję tak gruntowną nie odpowiedział; ale podniósłszy swoje widły do góry, gruchnął z całej siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukrychnął, a ja trzymając go w ręku, chet znowu w podróż z powrotem.

Szczęśliwa droga Bartoszu! zawołał teraz niegodziwy ten człowiek; pozdrowcie swoją odemnie; a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu przybraknie.

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię chować w kieszeń takich przekasów; ale byłem zbyt sobą samym zajęty, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż wtém coś zaszumiało i zagęślało mi koło uszu. Myślę sobie, dobre spotkanie, to zapewne sznur dzikich gęsi także w podróży do cieplic. I nie omyliłem się, a stary gąsiór na przodzie odezwał się do mnie: Ha Bartoszu, jak się macie? co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi? — Odpowiedziałem, że wszystko, chwala Bogu, zdrowe. Zagadnienie takowe nie zdziwiło mnie bynajmniej, gdyż same dziwy działały się zemną; nie uderzyło mnie więc wcale, że gąsiór tak łaskawie do mnie przemówił, zwłaszcza, żeśmy się już oddawna znali.

„A z kąda“, zapytał dalej, „i dokąd tak spieszniesz?“

„Lecę sobie na ziemię z miesiąca“, odrzekłem, „dokąd mnie niegodziwe orliśko, pomimo méj woli zaniósło, i zacząłem mu od samego początku opowiadać, jakem trochę w szynkowni miarkę przebrał i jak mi się w głowie kręciło.“

No, kiedy nie macie pilniejszego interesu, to się uchwycicie za moję nogę; polecicie w naszej uchanii. — Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy razem chylącym lotem i złamanym sznurem za gąsiorem, ja i inne gęsi.

a) Wieśniacy powszechnie mniemają, że plamy na księżycu i słońcu wyobrażają chłopów i jego żonę, gnoja rozrzucających, których Pan Jezus tam przeniósł, za karę, że poszli w niedzielę podczas nabożeństwa gnoja rozrzucać.

Po małej chwili zaleciało mnie coś i polechało po nosie, jak gdyby moja stara szperkę na tygielku smażyła. Stójcie, gąsiorku! zawołałem na mego lotnego przewodnika, a wszakże to moja chałupa; pozwólcie mi na nią się spuścić.

Gdzie tam Bartoszu, przetrzyjcież dobrze oczy, a zobaczycie, że tuż kałuża pod nami; gdybym was spuścił, tu pluśnicie jak szczupak. — Przecie ja to muszę lepiej wiedzieć, gdzie moja chałupa; bo mnie już, prawdę powiedziawszy, niecierpliwość brała, że mnie jeden gąsiorek chciał rozumu uczyć; a prócz tego, już tyle razy sparzony, nie ufałem już nikomu. Nie wiele więc myśląc, puściłem z garści gęsią stopę i — klap — plusnąłem w samą kałużę. Tą razą miał dali-bóg gąsiór słuszną racją!

„A ty niegodziwy opoju, chrapisz jak zarznięty, ze łba ci się jak z komina kurzy, już słońce ma się ku południowi, a ty jeszcze od wczoraj pod płótem kiermaszujesz! Koniska same się przywlekły; półkoszki, drabki od woza pogubiły; dziś pogoda piękna, czas wyjść z kosą w pole, a ty zalawszysy pałę gorzałką, w najlepszą chrapisz. O! bodaj przepadło przekłete gorzałczysko! tyle razy ci mówiłam, że nas zgubisz twem opilstwem; a ty jakbyś się na własną ruinę wziął, nie opuścisz i jednego poniedziałku, żebyś się nie upił, iż nie wiesz i o bożym świecie.“

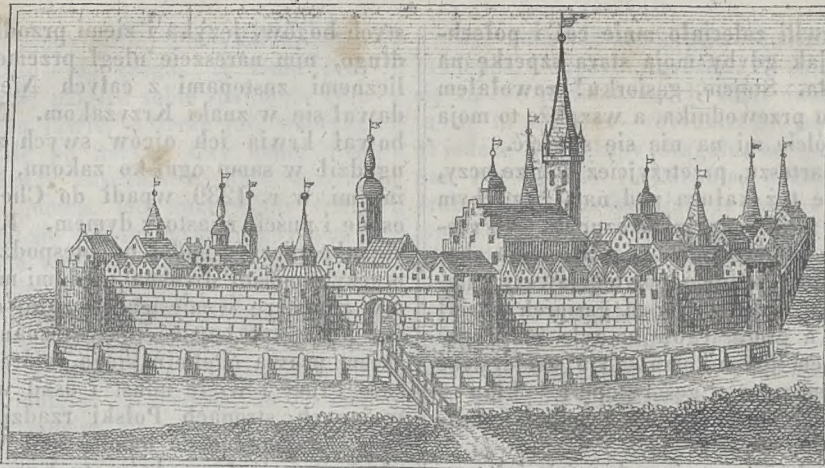
Poznałem zaraz przenikliwy głos mój Marysi, a przetrąwszy oczy, przekonałem się, że nie leżę w kałuży, lecz że moja powracając z konewką wody od stoku i widząc mnie leżącego pod płótem, sprawiła mi tę orzeźwiająca kąpiel. Nie odrzekłem tą razą i słowa, lecz jak zmyty wcisnąwszy czapkę na uszy, poszedłem naklepać kosę.

R.

Chelmno w 17. wieku.

Z opisem każdego niemal miasta naszego wiążą się drogie nam wspomnienia historyczne. Mało zaś które miasto ma ich więcej jak Chelmno w Prusach zachodnich. Niedaleko miejsca, na którym dziś Chelmno stoi, znajdowała się już w 12. wieku osada lechicka, wystawiona często na napady pruskich pogan. Konrad, książę mazowiecki, dla zastronienia swojej dzielnicy od spustoszeń tego barbarzyńskiego narodu, sprowadził z Niemiec kawalerów P. Maryi i nadał im ziemię chełmińską pod pewnymi warunkami, których wyszczególnienie, jako nienależące do naszego celu, opuszczamy. Kawalerowie Panny Maryi objawszy tę ziemię w posiadłość, założyli stolicę W. mistrza w Chelmie; a chcąc miasto ochronić od częstych powodzi Wisły, na które wystawione było, przenieśli je opodal na wzgórek (1232 r.). Wielki mistrz Herman de Salca pierwszy tu osiadł, i ztąd zaczął zakon bój krwawy z narodem, który z rozpaczą bronił najświętszych sobie rzeczy, to jest ojczy-

stych bogów, języka i ziemi przodków; i długo, długo, nim nareszcie uległ przemocy zasilanego licznymi zastępami z całych Niemiec zakonu, dawał się w znaki Krzyżakom. Nie raz zafarbował krwią ich ojców swych ziemię, nieraz ugodził w samo ognisko zakonu, i tak między innymi w r. 1239 wpadł do Chelmina, wyciął osadę i puścił miasto z dymem. Krzyżacy chcąc się ubezpieczyć nadal od niespodzianej napaści, otoczyli miasto dwiema rzędami mocnego muru; a w zamiarze wzniesienia swojej stolicy, nadali mu korzystne bardzo prawo, znane pod nazwiskiem prawa chełmińskiego, którem się później całe Prusy i wiele miast i osad w Mazowszu i w innych stronach Polski rządziło. Okoliczność ta, dogodna do handlu nad Wisłą położenie, nareszcie łupy, które tu Krzyżacy zewsząd zwłoczyli, sprawiły, że miasto wnet zakwitło w bogactwa, i przyjęte zostało, według świadectwa Cellaryusza, do związku miast hanzeatyckich. Wszakże gdy oręż zgubny krwiożerczego zakonu coraz bardziej Prusaków tępił, lub ich też ku wschodowi wypierał, Chelmno, jako leżące na samym krańcu zaborów zakonu, musiało zrzec się zaszczytu i korzyści stolicy mistrza, który odtąd do Malborka się przeniósł. Od tej chwili zaczął niknąć blask dawny Chelmina, a wojny, które niewdzięczny zakon następnie przeciw Polakom prowadził, przyspieszyły zupełny upadek tego miasta. Po bitwie pod Tannenbergiem, oblegli je Polacy, przymusili do poddania się, a złupiwszy mieszkanców, większą część miasta wraz z kościołem farnym w perzynę obrócili. Niewymowne łotrostwa zakonu, których nawet sławny historyk Voigt, acz mu bardzo sprzyjający, zataić nie może, przywiodły miasta pruskie do rozpacz; powstały one przeciw swoim ciemiężcom i poddały się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Do miast tych należało także Chelmno. Gdy się więc kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły, oblegli je Krzyżacy w r. 1455. Doznawszy atoli dzielnego odporu z strony mieszkanców, musieli odstąpić nie nie wskazawszy. Szczęśliwsi byli Krzyżacy w roku 1457. Zdobywszy Malbork, podstąpili pod Chelmno, gdzie Morawa, Czech, przekupiony, zmówiwszy się z gminem i burmistrzem Janem Mazkau, otworzył bramy wojsku nieprzyjacielskiemu. Zajął miasto na rzecz zakonu Bernard Sonnenberg w 2000 ludzi wojska zacięznego i zaczął natychmiast łupić bezbronnych mieszkanców. Jan Mazkau, burmistrz, upominając się o krzywdę mieszkanców, powieszony, odniósł zasłużoną nagrodę zdrajcy. Tymczasem Bernard Sonnenberg trzymał Chelmno w zaległym żołądździe, a odstąpiwszy później Krzyżaków, zapewnił sobie u Kazimierza Jagiellończyka posiadanie tego miasta aż do śmierci. Po jego zgonie opanowali Krzyżacy na czas krótki Chelmno, ale musieli je wnet opuścić. W roku 1505 stało się Chelmno własnością biskupów chełmińskich



Widok Chełmna w 17. wieku.

i nieprzystało nią być aż do pierwszego rozbioru Polski. Wojna szwedzka za Jana Kazimierza zniszczyła je do szczytu, a lubo biskupi chełmińscy, a mianowicie Jan Małachowski, referendarz W. koronny, starali się całemi siłami podźwignąć je z gruzów, przecież tysiące znalazło się w tem przeszkód i Chełmno było wciąż stosem ruin, które jeszcze z każdym rokiem nieład i klęski krajowe mnożyły; wtenczas zaś, kiedy miasta nasze, jak fenixy, z popiołów swoich odradzać się zaczęły, Chełmno już nie było polskiem.

Lubo Chełmno dawało nazwisko województwu i dyecezyi, przecież nie było nigdy jego stolicą; sądy bowiem grodzkie całego województwa odprowadzały się w Kowalowie, sądy ziemskie w Toruniu i Radzynie; katedra biskupia była w Chełmży. Miasto Chełmno posiadało kilka wspaniałych świątyń, mianowicie zaś kościół *farny*, kościół i klasztor franciszkański, założony 1258 roku, kościół dominikański i panien Benedyktynek. Ostatni był niezmiernie bogatym. Starowolski powiada, że między jego aparatami znajdował się ornat, cały dyamentami sadzony i złotym łańcuchem obwieszony; miał on pochodzić z daru Magdaleny z Mortag, ksieni tego klasztoru, w 16. i 17. wieku, pamiętnej w dziejach kościoła polskiego z licznych fundacyi PP. Benedyktynek w Polsce, jako w Jarosławiu, Poznaniu i t. d. Missyonarzy sprowadził tu biskup Małachowski 1678 r.

Chełmno jest ojczyzną Pawła Kuszewicza, który prawo chełmińskie na język polski przetłóczył i w Poznaniu u Rossowskiego 1623 wyłóczył, i kilka innych dzieł napisał. Rząd pruski założył tu gimnazjum katolickie, a dawniej korpus kadetów, którego komendantem, w czasie kiedy Chełmno do księstwa warszawskiego należało, był Wojciech Turski, niedawno

w Poznaniu zmarły, tłumacz pamiętników Szoany i logiki Kondylaka.

Motyl i strumyk.

(Improwizacya.)

Raz motyl do strumyka rzecz poufałe:

„Dali Bóg przyjaciela, nie pojmuje wcale

Szczególniejszej twej natury;

Od poranku do poranku,

Zawsze posępny, ponury,

Mruczysz tylko bez ustanku.

Jeśli chcesz być szczęśliwym, rób tak jak ja robię;

Co chwila nowym zajęty przedmiotem,

Igram, bujam, swawole, myśląc tylko o tém,

Jakby to krótkie życie uprzyjemnić sobie.

Mnie miejsce nie obchodzi, bracia nie obchodzą.

Bo od jednego ziemi do drugiego końca,

Wszędzie świeci promień słońca,

Wszędzie kwiatki życie słodzą. —

U mnie tu, tam, gdziekolwiek, zawsze myśl swobodna,

Na celu same rokosze;

Z każdego kwiatka wysysam potrosze.

Ale nigdy kielicha nie wychyłam do dna,

Bo to wiem z ludzkich powieści,

Ze na dnie gorycz się mieści.»

Skończył motyl, a strumyk tak na to odpowie:

Co ty szczęściem nazywasz, ja — nieszczęściem zowie,

Bo szczęścia, ile mówią, nikt jeszcze nie poznał,

Rto na łonie rokoszy, goryczy nie doznał!

Los twój nie zazdrość wzbudza, lecz politowanie.

Stawisz mi dołę swoją, a nie pomnisz na to,

Ze nim jesień nadejdzie, — nie przeminie lato,

Już po tobie wspomnienia nawet nie zostanie!

Pytales, czemu mruczę? Powiem ci przyczynę:

Widzisz ten gaj, istnienia mego początek,

Wkrótce już go nie ujrę — daleko odplynę,

I mruczę, że rodzinny porzucam zakątek.....

Toć mnie również jak tobie od końca do końca,

Na tej obszernej świata przestrzeni,

Tenże sam, co i tutaj świeci promień słońca,

Lecz obce łaki kwitną, obcy gaj zieleni.

Ja przynajmniej gdy obetę siłę uledek muszę,

Gdy cichy nurt pożążę w szumnym Oceanie,

Tą myślą koic będę stroskaną mą duszę,

Ze choć nazwiska mego pamięć tu zostanie.

Wybacz więc przyjacielu, zważywszy oboje,

Wolę moje niedole, niżli szczęście twoje.

J. G.